Pani Dulska



Nr. 2.
Rok 1909.

»Sercem gryzę«.



Ja zapalam... on zapala... my zapalamy...

TRZEBA ŻYCIE BRAĆ SERJO!

...

Śniła się gdzieś Elfowi raz
w mróz twardy wieść radosna,
że dla zgwałconych z wieka mas
przyszła swobody wiosna;

Że dusz niewola padła w gruz;
że miłość rządy trzyma...
zbudził się z krzykiem w twardy [mróz,
bo jeszcze była zima.

Gdy ziemię ze śniegowych kup
słonko oswobodziło,
tam, gdzie Elfowy leżał trup —
stu Elfów się modliło.

Rzekli: Fantasta zawsze był
i nie brał życia serjo:
byłby spokojnie sobie żył, —
a skończył... fanaberją!

Satyr.

PAN RADCA.

...

Zawsze starannie ubrany, starannie uczesany i wygolony, z teką pod pachą, cygarem w ustach, wolnym krokiem dąży w stronę jednej z pierwszorzędnych ulic, gdzie w okazałym gmachu oczekuje go wygodny fotel przed obszernem biurkiem. Tam spędza pan radca jakieś trzy do czterech godzin czasu, zajęty temperowaniem ołówków, czytaniem «Kurjerów», piciem herbaty, rozmową z kolegą, no i — przeglądaniem papierów.

Pan radca jest człowiekiem wysoce kulturalnym, popiera literaturę i sztukę; jest przytem wzorowym ojcem rodziny, starannie wychowuje dzieci i zabiega, aby zebrać dla nich jaki taki fundusik. Wszystko to składa się na całość osobnika godnego szacunku; to też pan radca jest ogólnie poważany. Należy do paru komitetów, jest wice-prezesem instytucji filantropijnej, przez znajomych jest witany nizkiem ukłonem, młodsi koledzy przesadzają się w uprzejmościach dla niego.

Zdawałoby się, że pan radca ma, jak to mówią, jedwabne życie, że płynie mu ono na różach, wolne od zgryzot i trosk wszelkich. Tymczasem pan radca ma swoje zmartwienia i nie raz zirytuje się tak, że obiadu jeść nie może, a jeżeli nawet przez rozum przymusi się i zje, to trawi z trudnością, co, jak wiadomo, bardzo źle odbija się na zdrowiu... Najwięcej zgryzot przyczynia panu radcy ta nasza niekulturalna, dzika publiczność, która niemożliwa jest przy załatwianiu interesów. Pan radca jest człowiekiem starszym i słabym, a do tej publiczności trzeba mieć końskie zdrowie. Co prawda niezbyt często się zdarza, aby pan radca opuszczał swój wygodny fotel przed obszernem biurkiem i wchodził w bezpośredni stosunek z publicznością, ale jednak zdarza się.

Ot, w tych dniach pan radca zirytował się strasznie. Ktoś

zaciągał z instytucji pożyczkę i pan radca musiał z odpowiednią sumą pojechać do rejenta dla uskutecznienia wypłaty. Naznaczono godzinę 11-tą, ale właśnie woźny przyniósł herbatę i parówki, więc pan radca spóźnił się o małą godzinkę. U rejenta zastał osoby interesowane, należało jednak zaczekać chwilę, gdyż zaciągający pożyczkę zapomniał, jak się w ostatniej chwili okazało, jakiegoś dodatkowego dokumentu, po który też posłano. Trzeba było zaczekać chwilę, ale pan radca czekać nie zwykł:

— Cóż panowie sobie myślicie, że ja parobkiem waszym jestem? Wszystko powinno być gotowe. Odchodzę — gdy zaś panowie na drugi raz mnie wezwiecie, to przyjdę, ale zamiast o 11-ej o 3-ej i w trzy dni po terminie wezwania!

To rzekłszy głosem jowiszowym, pan radca opuścił lokal rejenta, pozostawiając w zdumieniu członków instytucji, zapytujących się, czy urzędnik dobrze płatny jest na ich usługi, czy oni na jego?

A pan radca zirytowany wsiadł do dorożki i powrócił do biura. W dniu tym ciężko trawił obiad... Biedny — pan radca!

R. J.

MŁODY DULSKI MA RANDKĘ.

— A ty co tu robisz, pewnie czekasz na swoją Dulcyneę.

— Dulcyneę? Nie, ja się z arystokratkami nie wdaję, jestem demokratą... Czekam na bonę od mojej ciotki...

KONIKI WI...O!

Elegancki salon, dookoła stołu rój eleganckich panów — na suknie amarantowem moc banknotów i złota, wszystkie głowy pochylone ciekawie i wpatrzone... w koniki.

Gra w koniki — któż jej nie zna, przynajmniej ze słyszenia. Gra hazardowna, pełna emocji dla tych, dla których jest ona jedynie drogą do rozwiązania problematu: da, czy weźmie?

Nerwy tętnią, twarze płoną lub bledną, złoto brzęczy, banknoty szeleszczą w eleganckim salonie, śród roju eleganckich panów zajętych grą w koniki.

Koniki wi...o!

. . . .

Ty biedny koniu roboczy, co ciągniesz pług, bronę, lub ciężki wóz ładowny, czy wiesz do czego służą inne koniki?

Ale się nie żal na twą dolę. Gdyby nie ty i tamte koniki nie byłyby w ruchu.

Więc stary, poczciwy koniu — wi...o!

KŁOPOT W MIASTECZKU.

Burmistrz: Panie doktorze! tu pytają z powiatu o jakiś komitet sanitarny.

Doktor: Daj mi pan święty spokój, człowiek nie ma czasu cygara zapalić...

Burmistrz: Ale wytłumacz mi pan, co to jest, przecież ja muszę im coś odpisać.

Sekretarz: Panie prezydencie, ja tu znalazłem jakieś ślady w aktach (czyta). Jest jak Boga kocham, jest! «komitet sanitarny», stoi jak wół. Prezyduje pan doktór, członkami są pan prezydent i członkowie dozoru bóżniczego, a sekretarzem ja sam! Patrzcie państwo, nic nie wiedziałem o tem.

Doktor: Prawda i ja nie wiedziałem, bo też przy tylu zajęciach można zapomnieć.

Burmistrz: No chwała Bogu! kiedy komitet jest — to możemy odpisać, że jest...

Doktor: A naturalnie — może się raz odczepią przynajmniej...

Z tajemnic fachowych.

– A ja koledze powiadam, że byle dawać w knąjpie produkt świeży, to starzy goście zawsze przyjdą...

— Eh, zawracanie, produkt może być sobie stary, byle tylko były szanszonistki i muzyka, to nigdy świeżych gości nie zabraknie.

Z POUFNYCH ROZMÓW RODZICIELSKICH.

— Nasz jedynak będzie kiedyś bohaterem na morzu, zobaczysz!

— Dlaczego?

— Nie widzisz, że on już dziś ma wodę w głowie...

Z rozmów małżeńskich.

— Mógłbyś już raz porzucić ten brzydki zwyczaj ciągłego trzymania rąk w kieszeni...

— Ależ żonusiu, ja się nauczyłem tego od ciebie.

— Co za niedorzeczność! Przecież my nawet nie mamy w sukniach odpowiednich kieszeni...

— To też najczęściej trzymasz ręce w mojej kieszeni, kochana żoneczko!

Z TEKI DEKADENTA.

...

List do kochanki.

(C. d.)

O, konwenansie, w proch ci biję czołem! boś jest tak wielki i taki potężny, że ci hołdują króle niskiem kołem, że heros klęka przed tobą orężny, a stopy liżą panny i mężatki, szanowni ojce i czcigodne matki...

O, konwenansie! wierzaj mi, wszechmożny, jabym to samo robił, gdybym nie był taki zepsuty i taki bezbożny — i gdybym piekła takiego nie przebył i nie drgał jeszcze cały przekleństw echem... O, konwenansie, w nos ci parskam śmiechem!

Bom jest silniejszy mej duszy

pustoszą, bom wyniesiony już nad ludzkie mrowie; bom jest z tych jeden, co majestat noszą śmiertelny w sercu, a świat myśli w głowie; bom ja nie pierwszy lepszy z ludzkiej trzody, ale duch z ognia, z kamienia i z wody.

Wszystkie żywioły mam w sobie i moce, wszystkie potęgi i potęg pragnienie — i tylko własna mnie wola zdruzgoce i tylko własne zabije cierpienie. Za życie ja sam Bogu odpowiadam. O, konwenansie miły... do nóg padam!

Pieśnią mi dzwonią jakąś nieskończoną wichry i lasy i łąki i pola. Słyszę, jak tętni wielkie świata łono, jak na niem płacze ludzkości niedola i cały bezmiar gra, śpiewa i dzwoni, a ja na harfie tej nie kładę dłoni.

Nie kładę dłoni — bom jest bóg znudzony, co na angielski *spleen* się rozchorował. Niech sobie nikną łzy, wonie i tony, niechaj się sypie, w gruz wszystko zapada, choćby pod moją wolą mogło ożyć: lecz jam znudzony bóg i nie chcę tworzyć.

W myśli mi czasem wstają setki tworów, w myśli mi czasem wstają cudów cudy, pełne harmonji, świateł i kolorów, pełne poezji, baśnianej ułudy... Tylko im znak mój na czoła położyć... Lecz jam znudzony bóg i nie chcę tworzyć!

W duszy mej czasem są przeczucia światów wyanielonych anielstwem kochania, deszcze z brylantów, zawieruchy z kwiatów, jakieś cudowne świętości zarania: tylko im bramy mej woli otworzyć... Lecz jam znudzony bóg i nie chcę tworzyć!

O, Ty, co ciałem jeszcze stoisz przy mnie, lecz duchem jużeś odeszła daleko, Tyś czuć powinna, że w tym skargi hymnie niema zuchwalstwa — lecz łza pod powieką, taka paląca, że gdy ona spłynie, wszystko się w gruzy zapadnie i zginie...

Do jednej tylko Tyś skarbca komory zajrzała, Luba, choć wszystkie otwarte na Twe przyjęcie. Ale do tej pory nie wiem, czy jeszcze są widzenia warte, czy nietoperzy nie ma tam gromady, gdzie były skarby i nie syczą gady...

A jednak miałem skarbiec nieprzebrany. Lepiejby pewnie dla mnie w życiu było, gdybym miał tylko trzos dobrze wypchany, zdrowie, co z czerstwych policzków by biło, codziennie kawy z kożuszkiem garnuszek, tytuł nadradcy i — okrągły brzuszek...

Gdybym na wolim karku miał kretyna głowę, co nigdy w głupstwa się nie bawi i każdy dzionek jednako zaczyna; której się nigdy żaden cud nie jawi; gdybym dwunożnem był się rodził zwierzem. co tęskni tylko za... złotym kołnierzem!

A mogłem, mogłem... Ano, nieprzyjemnie pomyśleć sobie, że i tak pomrzemy... Ja z konwenansu, a konwenans ze mnie nawzajem dziś się serdecznie śmiejemy. A Ty znów nie wiesz, co też z dwojga złego wybrać: konwenans — czy też sługę swego...

O, tak, już dzisiaj byłbym

konsyljarzem, miał silne nerwy i apetyt świetny — i byłbym związan z Tobą przed ołtarzem, może od dawna byłbym nawet dzietny i wpajał w syna prawdę oczywistą: lepiej być woźnym w sądzie, niż artystą!

...bóg znudzony.

ŻYWE POKRZYWY.

Panny podobne są niekiedy do pokrzywy: parzą, jeżeli ich dotknąć delikatnie, zachowują się biernie, jeżeli się je chwyta energicznie i śmiało...

JĘZYKIEM DZISIEJSZYCH POETÓW.

Szmer spojrzeń kobiety rodzi fontannę kwiatów wonnych w sercu mężczyzny.

Koronkowy uśmiech kobiety ciepłem futrem otula serce mężczyzny.

Wonny pacałunek kobiety nawet żelaznego człowieka zmienia w kamiennego bałwana.

Cysterna kobiecego serca mieści w sobie wszystkie niebieskie marzenia i różowe nadzieje zakutych w stałość kochanków.

SEN SZLACHCICA.

Śniło się szlachcicowi, że go [robak toczy...
Żyd mnie zdradzi — zawołał, [otworzywszy oczy...
I wyśnił: bo za setkę, co pożyczył w mieście,
Srul procent doliczywszy, zabrał rubli dwieście.

SPÓŁKA.

Pan Erenfeld i pan Zwikeles założyli do spółki wielki interes. Pan Erenfeld był bogatym, za to pan Zwikeles choć biedny, miał wiele doświadczenia kupieckiego.

— Jakże on ciebie przyjął do spółki — pyta przyjaciel Zwikelesa.

— Nu — mówi Zwikeles — on ma pieniądze, a ja mam doświadczenie, ale za parę lat to ja będę miał pieniądze, a on doświadczenie.

ZAPŁATA RÓWNA MONETĄ.

Do teatru przyszła nadęta dama w długiej, powłoczystej sukni. W przedsionku pewien niepozorny jegomość nadepnął jej na powłokę.

— Czy ten wół oczu niema?— odezwała się pogardliwie.

— Przepraszam — była odpowiedź — nie wiedziałem, że krowa taki długi ma ogon.

NIE ZROZUMIE.

— Ależ Stasiu!... Stasiu, proszę Cię! Obok w numerze śpi ten Francuz!

— Głupstwo! Nie rozumie przecie ani słowa po polsku...

MONOLOG NIE-PRZYBYSZEWSKIEGO.

— I pisz tu dziś dla teatru! Całkiem odwrotny porządek! Dawniej pocił się autor przez pięć aktów, ażeby z Numy

i Pompiljusza zrobić parę. Teraz sztuka zaczyna się od pary, autor zaś poci się nad tem, ażeby ją rozłączyć!

ARTYŚCI A BURŻUJE.

Artyści nie powinni nigdy przystawać z burżujami. Nie służy to żadnej stronie: burżuje nigdy nie staną się artystami, za to artyści stają się burżujami...

ICH TYLKO DWOJE.

W wagonie kolejowym młoda i piękna dama siedzi nawprost młodego i przystojnego mężczyzny. W całym przedziale jest ich tylko dwoje. Dama po chwili milczenia hrząka.

— Przepraszam pana najmocniej... chciałabym się dowiedzieć, czy pan nie jest słaby na piersi?

— O, nie...

— I płuca ma pan w porządku?

— Owszem.

— A więc pan jest silny...

— Jak Herkules... Ale...

— I zechce mi pan wyświadczyć grzeczność?

— Tysiąc nawet...

— A więc, jeśli łaska, nadmij mi pan tę oto poduszeczkę gumową...

Rozmyślania piekarza.

— Teraz muszę podnieść cenę bułek... bo mniejszych już piec nie można!

W BALOWEJ SALI.

Któżby to pomyślał, iż sala ta znajduje się na ziemskim padole płaczu!...

Śmiechy, przyjaźnie, zachwyty, uniesienia, piękno, woń, światła, poezja, muzyka, a nic, nic z dni trudów, męki, zawodu, pracy, ubóstwa!

Są wszakże na tej ziemi, będącej krainą wygnania i potu czoła, jeszcze takie miejsca, w których się zapomina o szarzyźnie codzienności, o dacie każdego 1. w miesiącu, o płaceniu komornego, o rachunkach krawca...

W balowej sali ludzie—nadludzie, piękności—nadpiękności, półsłówka—nadsłówka, a czar zachwytów skrzydła rozpina i unosi, unosi daleko...

— O pani!... W takim walcu... w takt bijących serc, dłoń w dłoni!...

— O proszę!... my kobiety umiemy być stalsze i nie zmieniamy uczuć, jak rękawiczki...

— Na śniadanie szmer strumyka!...

— Jeśli tylko bratnia dusza zrozumie myśl moją...

Tak mkną wyrazy na skrzydłach uczuć czułych w balowej sali...

Zaś w bufecie ton się zmienia.

— Czy prawda? Ona nie ma ani grosza?

— Ciociu, i on jeszcze nie skończony prawnik?

— Restaurowana kamienica, cóż robić, trzeba dobijać targu.

W balowej sali uśmiechy, westchnienia, zachwyty. *Osa.*

Tow. Akc. **Fryderyk Puls**

W WARSZAWIE,

Plac Teatralny Nr. 11 - Nowy Świat Nr. 41.

PERFUMY
MYDŁO
WODA KWIATOWA
PUDER
SASZETKA

Narcyz

NIEGRZECZNY JÓZIO.

Maleńki Józio nazwał ciocię starą gęsią.

— Wstydź się Józiu — strofuje mama — idź mi zaraz do cioci i powiedz, że bardzo tego żałujesz...

Posłuszny dzieciak śpieszy do ciotki...

— Proszę cioci, bardzo żałuję, że ciocia jest stara gęś...

Redaktorka-wydawczyni i właścicielka pisma: Kazimiera Kalinowska.
Drukiem A. Koziańskiego w Krakowie. — Adres Redakcji: „Pani Dulska", skrytka pocztowa, Kraków. — Główna administracja i ekspedycja na Galicję: Biuro dzienników i ogłoszeń St. Sokołowskiego, Pasaż Hausmana we Lwowie. — Główny skład na Król. Polskie i Ces. Rosyjskie: Dom księgarski L. Bukiego, ul. Elektoralna 5 (Tel. 115. 16) w Warszawie. — Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują wszystkie polskie księgarnie i biura dzienników. — Ceny ogłoszeń według umowy.

Przedpłata na pismo wraz z dodatkiem dwóch powieści wynosi:

bez przesyłki	za 6 zeszytów	z góry	1 kor.	— 50 kop.
	„ 12 „	„	2 „	— 1 rb.
	„ 24 „	„	4 „	— 2 „
z przesyłką poczt.	„ 6 „	„	1·20 „	— 65 kop.
	„ 12 „	„	2·40 „	— 1·30 rb.
	„ 24 „	„	4·80 „	— 2·60 „

Cena pojedynczego zeszytu wraz z dodatkiem obu powieści 20 groszy.

W drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie.

PIEKIELNY ZAJAZD.

TRAGEDJA TRUCICIELI.

POWIEŚĆ NA TLE ZDARZEŃ PRAWDZIWYCH

NAPISAŁ BRONISŁAW MAZOWIECKI.

Znacie karczmę przydrożną? Z wierzchu nieosobliwa, odwieczna rudera, odrapana, z dużym, zagnojonym zajazdem... Wewnątrz, spora izba gościnna, z szynkwasem wgłębi i paru ławkami przy stołach po bokach, pod oknem i przy drzwiach z dworu; cieniutką ścianką oddzielona od mniejszego alkierza żydowskiego, pełnego gratów, pierzyn kolorowych i mnóstwa innych betów...

Akurat tak samo, jak sto karczem naszych, wyglądała i bohaterka mojej powieści. A stała sobie samotnie, na pograniczu polsko-węgierskiem, w Galicji, zdala od mizernej osady góralskiej, co wśród nagich skał i borów czarnych, gubiła się kędyś, przy drodze, między śnieżnymi szczyty naszych Tatr.

Była pora wieczorna, w przeddzień letniego po wsiach święta. Ale jakoś izba karczemna stała jeszcze pustką i tylko za szynkwasem krajał rzodkiew i chleb na zakąskę przygotowywał, młody żydziak, w kamizelce, z kręconymi przy uszach pejsami... Nagle wzrok podniósł Abramko na wiszącą u pułapu lampę, którą właśnie przed chwilą Maryna nalała i zapaliła.

— Słuchaj, ty, Maryna — odzywa się do dziewki — znowu nie wyczyściłaś szkiełka... Tak się ciemno świeci ta lampa, że ja sobie palec ukrajam zamiast rzodkiew... Oh, nie widzisz jak kopci!

— Niech Abramko głowy nie zawraca... Mnie do krów pilniej niż do światła. — Co mówiąc, dziewka wybiega i we drzwiach od dworu natyka się na wchodzącą właśnie żebraczkę. Ale snać baba czuła się w tej karczmie jak u siebie, skoro się zaraz ofuknęła:

— A zmiłujże się, Maryna! byłabyś mi stare gnaty poprzetrącała...

— Owa! — zachichotała już z poza drzwi dziewczyna — nie wielka byłaby szkoda takiego próchna...

— Nie ujadaj no ty, młódka — burczała dalej baba, stukając kosturem w podłogę dziurawą — jak będziesz taka stara, jak baba Justycha, to się nie dźwigniesz z przypiecka... A mnie jeszcze nogi noszą po świecie lepiej od młodych. — I prostując się, zmierzała prosto do szynkwasu.

— Prawda, Abramku — zwróciła się do zajętego swoją robotą, żydziaka — coby twój tate zrobił, gdybym ja tak już nie mogła włóczyć się za jego geszeftami?

— Aj waj... co się tak Justycha przechwala... Niby to za kwartę wódki trudno o dziadówkę...

— A ty szczeniaku jakiś! — porwie się baba na to — co ty się rozumiesz na interesach... Jeszcześ na to za głupi. — A kiedy żydziak nic sobie z obelg nie robi, stara żebraczka przybiera ton zamożnej gaździny: — Dawaj lepiej półkwaterek okowity...

— Abramko ani rozkazu nie spełnia, ani nic nie odpowiada; tylko flegmatycznie wychodzi z za szynkwasu, uchyla drzwi do alkierza:

— Tate — pyta — Justycha chce wódki... Można jej dać półkwaterek?

— Co ty się będziesz jeszcze pytał — sierdzi się stara.

W alkierzu, przy małym stoliczku, z grubym talmudem wśród świeczników szabasowych, siedzi przy lampce, w długim hałacie, w białych pończochach i pantoflach, długobrody żyd z pejsami. W rękach trzyma drugą jarmułkę, w którą pilnie coś wcierał w chwili, gdy jedną nogą na progu stanął Abrąmko. Teraz szybko zawija ją w papier i schowawszy do szafy, gasi lampkę na stole.

— Przyszła Justycha? — odzywa się karczmarz — zaraz ja tam idę sam... Możesz jej dać nawet całą kwartę...

Żebraczka z miną tryumfującą śmieje się:

— Widzisz, durny Abramku, że my ze Szmulem wielcy przyjaciele! — I sięga po wódkę, którą, posłuszny ojcu, żydek podsuwa babie...

W tej chwili z alkierza wszedł Szmul Doler. Baba, gębę otarłszy rękawem, zbliża się ku niemu:

— Dobry wieczór, gospodarzu!

— Justycha wraca z miasta? — zagaduje starą karczmarz, usuwając się z nią na bok od szynkwasu. Tu żyd, nachyliwszy się ku niej, głos zniża i dalszą rozmowę szeptem prowadzi, jak gdyby nie chcąc wtajemniczać Abramka, krzątającego się wśród kieliszków i butelek.

— Jakże tam z tą paskudną sprawą? — pyta Szmul ciekawie.

— Co do nieboszczyka Walentego?

— Nu... Robili już sekcją?

— Ano — rozwiązuje baba język, rozsiadając się wygodnie na ławie — przywieźli trupa do miasta, tak w trumnie, jak go byli wykopali... i fizyk krajał... Słyszałam... co oni myśleli... że Walenty pomarł na cholerę... bo jak ludzie opowiadali, to wszystko tak wyglądało jak przy cholerze... takie miał kurcze... takie bóle... I pono dlatego właśnie robili sekcją...

— A teraz mówią — pyta żyd skwapliwie — że to nie była cholera — co?

— Powiadają, że na pewne otruty!

— Otruty, otruty — żachnął się karczmarz. — Skąd oni mogą wiedzieć?

— Znaleźli przecież w nim truciznę...

— Znaleźli... co wy gadacie?

— Poznali arszenik.

— Ajwaj, paskudne słowo!

— Paskudne, nie paskudne... ale to sobie taka trutka mocna, coby młodszego zabiła odrazu, a nie dopiero takiego starego szczura, jak Walenty...

— Kto jemu to mógł zadać... jak wy myślicie Justycha?... co tam w mieście mówią o tem, niceście nie słyszeli?... Mają kogo na oku, co?... Napijcie się wódki... nu... — I nalawszy nową blaszankę, podał ją babie, która chętnie okowitę wypiła, splunęła i w dalszą z żydem wdała się rozmowę.

— Tutejsze żandary — zaczęła — taki dali raport, że trudno się domyślić, kto starego mógł otruć...

— Nu, ale co im się tam w mieście zdaje?

— Powiadają, że gdyby był Walenty w domu kłapnął ni z tego ni z owego, to byliby żonę jego zaraz zabrali do kryminału.

— Pewnie, że gdyby w domu, to przy sobie nikogo nie miał i któżby jemu tak dogodził, jeźli nie żona, ale że to było u Badylów, to nie można myśleć na żonę.

— Na Badylów nikt w okolicy złego słowa nie powie.

— I że to przecież z Walentym tacy byli przyjaciele...

— To coby mieli truć starego kuma na weselu córki.

— Gdyby co złego ugotowali, to potruliby wszystkich gości u siebie...

— A przecież nikomu się nic nie stało, okrom Walentego.

— Więc powiadacie, że na Jaremkową nie wskazują jakoby to ona męża się pozbyła...

— Tego nie słyszałam, żeby Jagnę mieli na oku, chociaż to się im nie podoba, że ona ma kochanka...

— Wiedzą, że ona z Piwonką ma jakie konszachty... nu, to dla niej nie jest dobrze...

— Podobno żandary nie podali tego w raporcie, ale teraz o tem do miasta donos zrobił strażnik Surma...

— Surma, ten łajdak!?

— A jakże, to tylko przez niego tę sekcją robili...

— Co wy gadacie, ten rozbójnik narobił tego wszystkiego?... Mnie to bardzo dziwne... Po co taki financwach ma się mieszać w nieswoje rzeczy? Co jemu z tego przyjdzie: to nie jego służba to nie jest przemytnictwo!

— Prawdę wam mówię, Szmulu, on ma jakąś złość!

— Na kogo złość?

— Nie wiadomo, po co on palce w tem macza; ale ja wam, Szmulu, dobrze radzę, wy się tego Surmy strzeżcie! On się bardzo interesuje nieboszczykiem Walentym... Coś w tem jest...

— Po co on się potrzebuje interesować teraz Walentym, kiedy oni nigdy ze sobą kwaterki wódki nie wypili...

— Widać, że go za to nieboszczyk teraz dopiero zaprosił na wódkę na tamtym świecie, kiedy Surma zamiast przemytników pilnować, troszczy się o tego otrutego męża Jagny...

— Nu, Surma sam chciał się żenić z Jagną — kiedy ona jeszcze u mnie służyła. Ale ja dziewce odradziłem financwacha bez gruntu. To ona wolała starego Walentego i jego dwadzieścia morgów...

— A teraz ma chałupę z dwudziestoma morgami, ino bez starego zawalidrogi...

— Najlepiej na tym interesie wyszedł Piwonka.

— Jego szczęście, Szmulu, że nie był na weselu u Badylów. Jak nic, byłby dzisiaj za kratkami!

— Piwonki tego dnia nawet nie było w naszych stronach... on chodził za granicę.

— To też mówię, że gdyby nie to, każdy palcem byłby na niego wskazał... Przecież jasne, że tylko kochankowi mąż zawadzał przy Jagnie...

W tej chwili Szmul, zobaczywszy, że ktoś wchodzi do karczmy, ręką daje znak dla Justychy...

— Sza... Przy ludziach o tem nie gadać!...

Do karczmy Dolera wszedł stary góral podhalański, pykając nieodstędną fajeczkę. Był to Marek Sagan, szeroko w okolicy znany i kochany gazda, którego chętnie w karczmie ludzie słuchali, ile razy jął po swojemu opowiadać młodym i starym; a dużo znał bajek ciekawych, to uciesznych, to znowu poważnych a smutnych, których nauczył się niewiadomo skąd: czy od skał i turni, wiecznie milczących, a góralom starym jedynie zrozumiałą mową, prawiących dzieje dziwów;... czyli od smreków niebosiężnych, szumiących nocą w boru swemi płaszczami czarnemi.

Podszedł Sagan prosto ku Szmulowi, rękę wyciągając na powitanie: — Daj Boże zdrowia! Poczem usiadł na ławie podle baby. — Jak się macie Justycho, co nowego na świecie?

— Ano — odpowie mu żebraczka — dziwują się ludzie, że my starzy jeszcze zawadzamy młodszym...

Pokiwał Sagan siwą głową: — Hej... nie długo tego, nie długo!... Jak wiater smreki — tak ci wej wyrywa staryk, jednego po drugim... Poszedł Florjan, poszedł biedny Walenty... to i do nas śmierć przyńdzie... Po truchłę zywicno nie tak to obdolno do lasa... Hej, nimos to jako las na syćkie biedy!

— Ka wam do śmierzci — ka ta!?

— O was, Marku — i żyd dodał — to ja się nie stracham...

— A pewnie, boście mi Szmulu, nie naraili nijakiej młódki na żonę, jak nieboszczykowi Walentemu...

— A czy to Szmul temu winien — wtrąciła Justycha — że się Walentemu ładnej dziewki zachciało na starość, żeby go dojadła...

Żyd żachnął się, jakby niezadowolony:

— Co to gadać o takich brzydkich rzeczach... Umarł — to sobie umarł — a my nie umieramy, to nie potrzebujemy o śmierciach myśleć... Lepiej, napijmy się okowitki... Abramku, nalej dla Sagana kieliszek mocnej.

— Hej, nimos to jako las na syćkie biedy — westchnął stary góral, zbliżając się do szynkwasu.

Wypił wódkę i rzodkwią parękroć przegryzał, gdy Szmul przez ten czas usunął się z Justychą na bok, do alkierza, gdzie przez chwilę szeptali ze sobą:

— Kupiła mnie Justycha w mieście fosforu?

— Cobyk nie miała kupić — odparła baba, szukając w węzełku.

— Bo mnie już wyszedł tamten, a ja ciągle potrzebuję go na myszy...

— O, jest — i podała mu baba zawiniątko. — Możebyk ja co zaraz za to dostała?

Doler szybko schował do szafy drobną paczkę:

— Potem, potem... porachujemy się. Niech Justycha idzie napić się wódki i co przekąsić może...

Wrócili razem zaraz do szynkwasu, przy którym Sagan, właśnie po zakąsce, pocierał siarniczek, by sobie na nowo podpalić zagasłą fajeczkę.

— Dawaj no Abramku, okowitki i co tam masz do jedzenia — wołała na żydziaka Justycha. — A stary Sagan nie napije się ze mną do kompanji?

— Napiłbyk się z kumą ochotnie — odparł Sagan, poglądając ku drzwiom, przez które właśnie schodzili się różni ludzie do karczmy — cóż kie mi to nowiny żadnej nie powiecie... chociaż włóczycie się wiecznie od wsi do wsi... dziwaśka...

— Wej byłam i w mieście wczoraj — pochwaliła się włóczęga, przenosząc się z Saganem od szynkwasu do bocznego stołu, przy którym zasiadają też oboje do podanego przez Abramka, jadła i napitku.

Co chwila muszą komuś odpowiadać na powitanie; do karczmy bowiem zeszła się już gromadka starszych górali.

Zrobiło się też w izbie nieco gwarniej, bo nie tyle gazdowie, ile gaździny mełły ozorami, jak najęte — to i owo sobie opowiadając, jako że się wzajem niewidziały od niedzieli.

Ledwie noc wczesna, jak w górach zwyczajnie, zaczęła drogę zasypywać swemi mroki — jakoś opróżniła się prędko karczma Dolerowa. Z gości siedział jeszcze stary Marek Sagan, któremu nie bardzo chciało się ruszyć z miejsca; a przy nim Justycha, której znów, skutkiem licznych półkwaterków, nogi zanieść nie miały ochoty do wioski, gdzie baba, w razie potrzeby, zawsze nocleg miewała w jednej zacnej chałupie... Obok drzemiącej za szynkwasem Maryny, wypoczywał Abramko na zydelku, po ciężkiej krzątaninie koło licznych przed chwilą gości.

Już Szmul miał się zabierać do odmawiania swoich wieczornych modlitw starozakonnych — gdy naraz od dworu, zdaleka jeszcze, doleciały do karczmy, zbliżające się coraz bardziej, odgłosy skrzypek. Szmul nieznacznie ręce zatarł z zadowolenia. Justycha jęła się kiwać na ławie, z uśmiechem pociesznym łowiąc dźwięki...

Rychło też wrzawa głośna rozległa się prawie tuż pod oknem na drodze, poczem do izby, rznąc od ucha na skrzypkach, wcisnął się, drzwi nogą pchnąwszy, Józiek Dźwigała. Przytupując nogą, grajek sunął prosto do szynkwasu, a smyczek tańczył mu w ręku, jak zbójnik przy watrze wyskakujący na hali...

Budząc ciszę chwilową, raźna gędźba napełniła całą karczmę, a w takt skocznych dźwięków weszło z hałasem do środka, w ślad za grajkiem, jeszcze trzech, tęgich chłopów, wywijając w powietrzu góralskiemi ciupagami...

Co chwila w takt muzyki wykrzykiwali oni: »Uha! uha!!« Aż cała rudera trzęsła się od ich gromkich głosów i gęśliczkowego grania krępego, trochę kudłatego, juhasa, który dawno kędyś na hali zielonej rzucił raz bacę podle watry, przy owiec kierdelku, żeby wraz ze skrzypkami przystać na wieczne czasy do rozgłośnej na pograniczu, strasznej a nieustraszonej, lubo nie licznej, gromadki przemytników...

Oni to właśnie byli — serdeczni Dźwigały towarzysze, co z nim teraz przyszli do Szmula, który snać się ich spodziewał, chociaż myślał, że dopiero później zjawią się do niego; teraz zaś wielce był kontent, iż przyszli już po odejściu gromady; ze starego Sagana bowiem, robił sobie żyd tyle chyba, co z Justychy, mimo że Marek nie należał do jego zaufanych, jak wysługująca mu się dziadówka.

Teraz uśmiechał się karczmarz z zadowoleniem, witając pożądanych gości:

— Nu, cóż tak wesoło?

A na to mu z miejsca wypalił najpoważniej w bandzie wyglądający — lubo nie herszt ich nieobecny — Jędrek Galas, chłop ogromny i w barach potężny.

— A czyśmy to zje kogo pochowali, żeby się dziś smucić?

— Ojej — mlasnął żyd językiem — coby zaraz miał być pogrzeb? Ino pytam, o co taka uciecha...

— No, to zara będzie markotno, kie w karczmisku u Szmula nimos nikogo — odezwał się Kuba Wroniec, jak smrek smukły, góral młody, a śliczny, że hej!

Justycha wesoło dotychczas śmiejąca się do nowych gości — schmurzyła się nagle:

— Słyszycie kumie — powiada do Sagana — jakto nas już za nic nie mają... Patrzcie go... nikogo, peda, nie ma... Staryk poniewiera, wrodniok!

— Zwyczajnie, jak młodzi — uśmiechnął się Sagan, gdy Galas do baby zaraz przyskoczył.

— A przecie z wami, Justycho, nikt z nas tańcować nie bendzie!

— Toć mam racją — Wroniec kontent zawołał — że w karczmie pomarlisko...

— I nie będzie, z kimby się zabawić wesoło — dorzucił i trzeci z gromadki, Franek Ćwik, chłop młody, zdrów i mocny, a nie mniej od Wrońca piękny, zgrabny i galanty, jak o nim zwykły mawiać zachwycone góralki.

— Kajsi ty, bezkurcyjo, Szmulu, ludzi potracił — odzywa się Galas do żyda — wszyscy się już spili u ciebie i spać poszli?

— Nu, może jeszcze kto przyjdzie...

— Ani jednej dziewki w karczmie... wej trzeba bendzie przecież babę Justychę poprosić do tańca — żartuje sobie Wroniec, któremu dziadówka nie została dłużną w odpowiedzi, zaklawszy z góralska:

— A ty bezere jakiś! nie wycieraj no se gęby, wrodnioku, starą babą — hej!

I Sagan wmieszał się w to, mówiąc:

— Jeszczeby Justycha lepiej poskoczyła od Krystki Lubczykówny!

Zerwał się na to imię Wroniec:

— Hej, dawajcież mi Krystkę!... byłażby zabawa jak na burse! (karnawał).

— Szmulu, psiajucho! — huknie naraz Ćwik żydowi nad uchem — dziewek tu nie było jeszcze z wieczora?

— Nu, ja myślę co pewnie zaraz przyjdą...

Lecz Abramko nachylił się ku Ćwikowi, mamrocząc:

— Wspominała Wikta, co przed nocą przyjdzie jeszcze...

— Także mi gadaj — grzmotnął Ćwik w kark żydziaka z radości, poczem na Dźwigałę zawołał, co na ławie siadł, wypoczywać po smyczkowej robocie. — Słyszysz, Józiek, bedziesz nam grał do tańca...

— Komu... tobie Franku?... a co mi dasz za to?

— Dwa dudki.

— Dwa, to mało...

— A drugie dwa od Wikty, kie ze mną zatańcuje...

— A jakże... od Wikty Płachcianki... widziołbyk grule na smreku (ziemniaki na świerku)...

Teraz do Abramka przysunął się Galas, pod bok szturchając chłopaka:

— Hej, Abramku, cóż ty sobie myślisz?

— Nu, co mam myśleć?

— Czemuż nam wódki nie nalewasz... Nie widzisz, kto przyszedł?

— Ale nie słyszę, kto każe dawać — chytrze odparł żydziak.

— Galas wszystkim funduje — krzyknie mu Wroniec, a Ćwik nagli go jeszcze:

— Nie pytałbyś, żydziaku, a jacy nalewał kieliszki prędzej...

Młody Doler w mig już spełniał rozkazy, bojąc się nowego szturchańca, gdy Galas znów zaczepił jego ojca.

— Cóż ty, Szmulu, stoisz i kiwasz się, jak nad talmudem, zamiast w kark rznąć Abramka, żeby nie marudził z tą wódką, kie ma porządnych gości w karczmie...

Pili jeden po drugim wódkę i zakąski przegryzali, gdy Wroniec znów odezwał się do żyda:

— Wej ten Szmul, widzi mi się, dziś strapiony, kieby zrobił nie dobre geszefta... No, przyznaj się, żydzie... Hasen zły, co? kiepsko poszło?

— Co miało iść kiepsko! żadnego interesu nie robiałem jeszcze, dopiero miszle zrobić...

Galas poważniej przysunął się do Szmula:

— Tej nocy — zgoda! — szepnął karczmarzowi.

— Czyście gotowi? — zniżył głos i Doler.

— A ty, Szmulu?

— Nu, co ja mam być nie gotów...

— Noc będzie ciemna... dziś byłoby nolepi... wszyscyśmy gotowi... Za jaką dobrą godzinę moglibyśmy się wybrać w drogę.

— Ny, to wszystko git... ja będę tam czekał o północy...

— Jak zawsze...

— Galas — krzyknie naraz z kieliszkiem w garści Wroniec, widząc ich szeptających na uboczu — je coz to takiego!... ty nie myślisz pić z nami?

— To my za twoje dudki pijemy — dodał i Franek Ćwik: a ty, wrodnioku, nawet za nasze zdrowie nie wypijesz!

— Co byk tez ni mioł sobie wypić, pił bede za dwóch. — I Galas, wziąwszy z szynkwasu kieliszek. — Do ciebie, Wroniec! — zawołał i wypiwszy, szepnął mu nad uchem — Tej nocy Szmul nas czeka... za godzinę idziemy na wyprawę.

Wroniec zaraz powtórzył to cicho Ćwikowi:

PRZEDŚLUBNY GRZECH.

DRAMAT WYZNAWCÓW PODWÓJNEJ MORALNOŚCI.

POWIEŚĆ ORYGINALNA PRZEZ KAZIMIERZA KALINOWSKIEGO.

Po odejściu państwa Niwińskich została Zosia sam na sam z Heleną. Krótką chwilę milczały obie mimo, że najlepszą miały sposobność do zwierzeń wzajemnych, poufnych. Zosia przygnębiona zapomniała nawet zrazu, że miała bawić gościa. Łaniecka pierwsza przerwała milczenie: — Cóżeś ty, Zosiu, taka dziś poważna?

Ocknęła się panienka. Jak gdyby w roztargnieniu odparła: — Zmartwiłyśmy się Melcią.

— A prawda... Skoro mama wyjeżdża pielęgnować chorą położnicę, to ty będziesz miała teraz całe gospodarstwo na głowie... To bieda... bo mnie się wkrótce tutaj znowu sprzykrzy na wsi... Jeźli ty jeszcze nie masz mi dotrzymywać towarzystwa, to gotowam sobie pojechać stąd gdzieindziej. — I naraz, jak gdyby sobie coś przypomniała, spytała: — A czy przypadkiem nie ma teraz u was Stanisława?... bo to, zdaje się, ferje.

— Owszem... jest Staś... Nie wiem, może i posiedzi z nami trochę na wsi, a może wróci do Warszawy, pomimo wakacji, bo mu tutaj brak różnych przyrządów do doświadczeń nad wynalazkami aeronautycznymi... Ale do Warszawy... tobyś ty, Helciu, nie pojechała teraz, gdybyś nie miała ochoty być u nas.

— Dlaczego?... A... do Warszawy... Masz rację... Teraz nie pojechałabym — później może... Tak, teraz nie chciałabym się tam z Władkiem spotkać... tak za świeżej pamięci... bo potem, to mi będzie obojętne...

Zosia nie bez zdziwienia spojrzała na kuzynkę: — Więc tak rzeczywiście rozeszliście się całkiem? I o cóż to, doprawdy, mogliście się tak zaraz posprzeczać na ostro?...

— Właściwie sprzeczki o nic nie było między nami... Tylko ten warjat, nazajutrz po weselu, wyprawił mi straszną scenę zazdrości...

— Na drugi dzień po ślubie... do zazdrości dałaś mu już powód?...

— Powód — powód... dzieciak jesteś... Bo ty takie rzeczy bierzesz zaraz z tragicznej strony. Wy w ogóle, jak na przykład twoja mama, śmieszni po prostu jesteście z tą swoją parafijańską moralnością... Wam się wydaje, że panna aż do nocy poślubnej musi być nie człowiekiem z młodą krwią w żyłach, ale jakąś nadludzką istotą, jakimś aniołem, któryby chodził po błotach ziemskich i skrzydeł sobie nie zaszargał ani razu...

— Proszę cię, Helenko, daj ty mojej matce pokój... Trudno w jej wieku mieć inne pojęcia o tem, co naprzykład wypada, lub

17

nie uchodzi młodej panience... Ale znowu mnie w tych sprawach nie mieszaj wcale z mamą... Zanadto różnią się nasze przekonania w tej mierze...

— No zapewne... Zwłaszcza, gdy się zważy, iż ciotka po dziś dzień użyła już wszystkiego... a ty jeszcze niczego nie zakosztowałaś i z natury rzeczy musisz mieć apetyt w całej pełni zaostrzony... Ale mimo to, chciej mi wierzyć, Zosiu, że twoje wyobrażenia są akurat podobnie śmieszne jeszcze, jak u twojej matki... bo, nie zaprzeczaj... znam cię, duszko... chciałabyś zawsze tylko jakieś anielskie istoty widywać w tak zwanych pannach na wydaniu...

— Ależ przeciwnie. Zmieniłam ja się w ostatnich czasach...

— Bajki... Przecież nie tak dawno jeszcze — pamiętam doskonale — oburzałaś się zgorszona, iż Bronka miewała schadzki z jakimś studentem — a potem wyszła za kogo innego... A widzisz... a widzisz...

— To co innego... Jeżli o takie rzeczy idzie — zawsze taką będę... To jednakże nie nazywaj tego u mnie parafijańską moralnością... od której właśnie daleką jestem i przeciwko której sama się buntuję... i świat cały dziś bym zbuntowała... bo w niej tylko fałszywą widzę moralność... doprowadzającą w praktyce życiowej do wprost przeciwnych, jak najfatalniejszych wyników... Po prostu, nie rozumiemy się nawzajem.

— Owszem, ja cię rozumiem... Tylko nie mogę nigdy zgodzić się na takie pojmowanie rzeczy... bo tak mogą na świat patrzeć tylko dzieci...

— Nie bierz ty mnie za dziecko... Poważniej myślę ja nieraz od wielu rówieśniczek i powoli wesołość z mej twarzy pod wpływem bolesnej zadumy ulatać musi coraz dalej... coraz częściej... I dziś mam tak przykry dzień... Ee... nic... Pewnie starą panną zostanę, bo mi się nie zechce grać roli bohaterki w jakim nowym dramacie małżeńskim... W charakterze słuchaczki, mam już dość wrażeń silnych, na widok różnych tragedji poślubnych...

— Ale chyba nie wzrusza cię tak moje rozejście się z mężem. Przecież widzisz, ja sobie z tego nic sama nie robię... Cóż chcesz... żebym płakała, rozpaczała... Za zimna jestem na to... Przecież nie sposób żyć z takim bzikiem całe lata. Cóżby on wyprawiał później... Przyznasz, że to przecież już warjatem trzeba być prawdziwym, by mieć pretensję do mnie o to, iż ja na niego nie poczekałam... Ja na parę lat przed za mążpójściem, miałam się już z tem liczyć, że kiedyś tam, zjawi się jakiś doktor Łaniecki, zakocha się we mnie i ożeni, w przekonaniu, że bierze aniołka, który nigdy przed nim na lekarstwo nie widział mężczyzny... A potem awanturę mi zaraz zrobi po weselu, że ja go oszukałam... No, wiesz, wtedy w Krakowie... Ah, prawda... ty nie wiesz... zdawało mi się, że ci opowia-

dałam swego czasu o swoim stosunku z tym malarzem... Pamiętasz... później wyjeżdżałam na wieś, na Szląsk... Ależ musiałam ci się z tem zwierzać... Nie?... No, cóż takie wielkie oczy na mnie robisz, ty parafijaneczko, dzieciuchu ty...

— Gdybym ja dziś jeszcze oczyma dziecinnemi mogła na świat patrzeć...

— To byłby się na pewne z tobą ożenił ten mój mąż i byłby zadowolony po ślubie... i nie potrzebowałby sobie włosów z głowy wydzierać z rozpaczy... jak ja mogłam tak go oszukać, tak zdradzić...

— Przecież miał najzupełniejszą słuszność.

— Kto? Władek miał, według ciebie, słuszność? Jakto, więc to się nazywa, że ja go zdradziłam, jeżeli miałam jaki romans na parę lat przed ślubem...

— Tak samo, jak gdybyś go miała w parę lat po ślubie.

— Ależ dzieciństwo... warjacja... Całemu światu — widzę — w głowie się przewróciło... Jakto, więc jeżeli ja jeszcze jego nawet nie znałam — to się będzie nazywało, że jego już zdradzałam z kim innym...

— W każdym razie on ma rację, że go oszukałaś, skoro żenił się z przyzwoitą panienką...

— Z przyzwoitą, z przyzwoitą...

— Więc z uczciwą, jeźli chcesz...

— Na jedno wyjdzie... Wiedział wszakże, iż skrzydeł anielskich nie miałam u ramion...

— Ale miał prawo wymagać, byś mu dotrzymała czystości panieńskiej przed ślubem...

— Dobraś sobie... Jemu miałam dotrzymywać, skoro ja przecież wtedy, gdy się to stało, nikomu jeszcze niczego nie ślubowałam, ani przyrzekałam... więc też i niczego nie miałam, ani jemu, ani nikomu innemu, dotrzymywać...

— A zatem przed zamąż pójściem, ba, nawet przed zaręczynami jeszcze, miałaś obowiązek, wyznać błąd swój...

— Co jeszcze... żeby mi był z miejsca powiedział »padam do nóg«.

— Więc wolisz — że ci to powiedział po niewczasie...

— Zapewne. Przecież, gdybym tak była przed zaręczynami — wedle twojej rady, spowiadała się z różnych podobnych rzeczy przed wszystkimi po kolei konkurentami ... i miała, dajmy na to — właśnie szczęście do takich drażliwych z gatunku Łanieckich ... to może byłabym w staropanieństwie zgrzybiała. Tymczasem dziś, chociażbym z mężem nie żyła — zawsze mam tytuł nie panny, lecz mężatki ... bo się rozwodzić nie będziemy ... i mogę sobie robić, co mi się tylko spodoba, bez oglądania się na to, co świat powie...

— Zdaje mi się, że nie wiele sobie ze świata robiłaś i przedtem, nosząc tytuł tylko panny, nie mężatki...

— Przepraszam, wtedy trzeba się było ze wszystkiem ukrywać... dziś będę swobodniejszą.

— Zdaje mi się jednak, że mylisz się, sądząc — jak to przed chwilą powiedziałaś — iż wśród mężczyzn z matrymonialnymi zamiarami, istnieje tylko jakiś, może w twem wyobrażeniu nieliczny, gatunek drażliwych Łanieckich, którzy o takie, według ciebie znowu, bagatelki, robią awantury niedorzeczne po ślubie... Mnie się natomiast wydaje, że tacy Łanieccy, to nie wyjątek śród kandydatów ne mężów, ale reguła... Każdy chyba woli kupić sobie do zjedzenia śliwkę, wprost z drzewa zerwaną, aniżeli już wyplutą przez kogo innego...

— Ty wogóle masz, jak uważam, grubo śmieszne żądania. To akuratnie tak, jak gdybyśmy chciały przed ślubem, żądać od przyszłego męża spowiedzi... gdzie — kiedy — z kim — ile razy do roku, miewał stosuneczki... Co byłoby już z góry wogóle niemożliwe... Panowie bowiem w swoich książkach przychodu i rozchodu nie mają zwyczaju prowadzić takiej rubryki... Więc żaden nie spamiętałby wszystkiego i nie mógł by nam całej prawdy wyśpiewać... No, moja moralistko, może ty miałabyś takie pretensje do kandydatów na mężów...

— Jakto... Wszak to sprawiedliwe. Inaczej, byłaby to jakaś podwójna moralność. Mojem zdaniem, obie strony muszą mieć równe prawa... Mężczyzna żąda od kobiety, by ta przed ślubem dochowała mu czystość dziewiczą... i ma słuszność... Więc nawzajem, kobieta ma prawo żądać od niego nie więcej nad to...

— Tylko tego samego... Ha, ha, ha...

— Ależ to zupełnie naturalne...

— Paradna jesteś! Chociaż właściwie to nic dziwnego... W twoich oczach słuszność zupełną ma nawet taki warjat, jak Łaniecki...

— Ciszej... ciszej — szepnęła nagle Zosia — nie jesteśmy same...

— W drzwiach werandy zjawiła się biała bluza wracającego z parku Stanisława

— Ach! kogo ja widzę — radośnie zawołała Helena.

Student, wszedłszy swobodnie na werandę, chciał się nagle cofnąć na niespodziewany widok pani Łanieckiej.

— Może przeszkadzam...

— Ależ owszem — wołała Helena — chodź pan bliżej, panie Stanisławie.

— Nie przeszkadzasz nam Stasiu — dodała Zosia.

Czerski zbliżył się do kobiet. Helena wyciągnęła ku niemu obie ręce na powitanie.

— Nic nie wiedziałem, że pani przyjechała — mówił młodzieniec, witając się z kuzynką państwa Niwińskich. Helena obrzuciła młodego człowieka kokieteryjnem spojrzeniem, poczem nagle zaczęła się cofać w stronę lustra.

— Tylko niech mnie pan z blizka nie ogląda..., bo ja prosto z podróży, więc właściwie nie jestem jeszcze na pokaz dla mężczyzn. , a nawet zaraz ucieknę stąd... przebrać się... odświeżyć... — Spojrzała w zwierciadło. — Bo ja po prostu jestem niemożliwa...

— Właściwie nie powinna by pani sobie robić ze mną ceremonji.... Przecież znaliśmy się jeszcze dziećmi, nieraz bawiliśmy się razem..., ot tak we troje, jak tu jesteśmy...

— Ale wtedy — z naciskiem odparła Helena — wszyscy byliśmy dziećmi... A dziś. — I w sposób wyzywający zaczęła przyglądać się przystojnemu studentowi. — Słuchaj Zośka... wiesz... — Na bok usunęła Zofią i nie przestając kokietować wzrokiem Czerskiego — dalej do niej mówiła szeptem:

— Dobrze, iż ty się nie kochasz w Stanisławie..., bo jabym ci zaraz zbałamuciła tego ślicznego chłopca..., choćby tylko tak, żeby ci go zabrać..., przez zemstę..., że trzymasz stronę tamtego warjata Łanieckiego, któremu... ot, tak — mnie na złość... przyznajesz słuszność...

Wreszcie odwróciła się do stojącego na uboczu młodzieńca i głośno zawołała, czułe posyłając mu spojrzenia: — Do widzenia, panie Stasiu!

Szumiały stare drzewa nad cienistemi alejami ogromnego parku, którego plama zielona odbijała dziwnie od złotych piasków mazowieckich ciągnących się wzdłuż Wisły w okolicach Warszawy.

Lubo w lipy odwieczne schowany, kąpał się cały w słońcu biały dworek, nad którym parami fruwały gołębie i chyżo uwijały się jaskółki...

Było już dawno po obiedzie, a muchy, brzęcząc, jeszcze śladów jadła poszukiwały w obszernym pokoju jadalnym, którego szerokie drzwi szklane stały otworem na werandę z widokiem na ogród.

Przy stole siedział sam pan Edward Niwiński, wąsaty ziemianin, około pięćdziesiątki, otwierając po kolei listy i gazety, świeżo z poczty przyniesione... Z obojętnością odkładał papiery na bok, grupując je, stosownie do tego, jak które mają być załatwione. Po chwili jeden list w niezwykły sposób zajął jego uwagę... Czytając go pospiesznie, kiwał nad nim głową, wreszcie mruknął coś pod nosem... Nad jakimś wyrazem zatrzymawszy się, zagwizdał ze zdumienia wielkiego, zatarł ręce a twarz jego wyrażała coraz żywszą radość... Zerwał się z krzesła, wybiegł na werandę i zawołał w stronę parku, głosem dźwięcznym, w którym znajomi zaraz by poznali dobry humor:

— Stanisławie! Stachu! — Dłoń zwinął w trąbkę przy ustach: — Jest tam gdzie pan Stanisław?

Z ogrodu odezwał się głos młody: — Jestem... jestem...

Pan Edward wąsa podkręcił i znów zatarł ręce: — Chodźże tu, chłopcze, do mnie co prędzej...

Tuż pod werandą zabrzmiało: — Już idę...

— Pójdź do mnie, mój Stachu — mówił spiesznie pan Niwiński, wracając do stołu — niechże cię uściskam, chłopcze kochany...

W tej chwili zabieliła się na werandzie letnia bluza studenta politechniki warszawskiej. Do pokoju wbiegł rześko, pełen życia i zdrowia, młodzieniec dwudziestoletni — popielaty blondyn z jasno-piwnemi oczyma, o przedziwnie pięknych, złotych odblaskach...

— A cóż tam takiego? — pytał już od progu Stanisław Czerski, podchodząc do gospodarza.

— Chłopcze drogi, niechże cię uściskam... — I ręce wyciągnął do młodego wychowanka swego, który go w ramię całował serdecznie.

— Ale cóż to takiego? Widzę, że coś bardzo radosnego dla drogiego pana...

Pan Edward usiadł przy stole, chustką odganiając muchy.

— Dla ciebie to, Stachu, nie dla mnie, nowina tak radosna i tak szczęśliwa, jakiej po dziś dzień nie miałem dla ciebie jeszcze ani razu...

Czerski otworzył oczy szeroko, siadając: — Ginę z ciekawości.

— Urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą!

— Dotychczas nie zauważyłem tego...

— A jednak, krótko mówiąc, masz chłopcze szczęście! Szalone szczęście!... W naszem bowiem społeczeństwie... doprawdy, na palcach policzyć można takie zdarzenia...

Czerski, wpatrzony w pana Edwarda, kręcił się niecierpliwie na krześle...

— Jakież zdarzenia? — pytał zdumiony. — O niczem nie wiem, co mnie spotkało...

— Tembardziej tedy cieszę się z tego, iż ja właśnie mogę ci to zakomunikować, drogi Stanisławie...

— Otóż, uważasz... List dzisiaj dostałem od poczciwego Młockiego ze Szwajcarji...

— Jakkolwiek mnie to ma podobno dotyczyć, przyznam się panu, iż nazwisko Młockiego jest mi obce. Może słyszę je nie po raz pierwszy, może mi kto kiedy wspominał co o jakim Młockim, ale w tej chwili nic mi to nazwisko nie mówi...

— Zaraz powie ci ono bardzo wiele. Uważasz... Apolinary Młocki był najlepszym przyjacielem moim i nieboszczyka ojca twego... Ciebie znał chyba dzieckiem maleńkiem. Może w kołysce zaledwie, bo nie musiałeś mieć więcej nad dwa, trzy lata, kiedy Młocki z kraju

wyjechał zupełnie i do dziś dnia, uważasz, siedzi tam sobie, samotnik, nad jeziorem Genewskiem...

— I cóż tam robi ten pan Młocki?

— Co robi, mój chłopcze?... Ludziom dobrze robi — uważasz — i basta... A zresztą, posłuchaj tego listu, to się dowiesz, czy mam rację...

Pan Edward, list wziąwszy, zaczął czytać:

»Kochany mój Edwardzie! Nie potrzebuję ci przypominać, jak drogim przyjacielem był mi nieboszczyk Kazimierz«...

— O moim ojcu mowa — wtrącił szeptem Czerski.

»Pamiętasz przecież, iż trzech nas było w Marymoncie — on właśnie, ty, Edwardzie i ja, o których wszyscy wiedzieli, że za wzór i przykład przyjaźni służyć mogą światu«.

Stanisław drgnął nagle: — Przepraszam, że przerywam — odezwał się — ale już teraz sam sobie przypomniałem, iż wiedziałem cokolwiek o Młockim. Wszak to pan sam mi niegdyś opowiadał, że ten pan Młocki kochał się w mojej nieboszczce matce, kiedy panną była...

Niwiński kiwnął głową i dokończył z uśmiechem:

— I odstąpił ją bez urazy przyjacielowi, gdy się dowiedział, że twój ojciec kochał ją wcześniej.

— On też wiele podobno zawdzięczał memu ojcu — dodał Stanisław, na co pan Edward odparł z powagą:

— My zaś obaj jemu znów nie mało....

— I jeszcze sobie jedno, jak przez sen, przypominam — mówił szybko Czerski. — Pan mi to także mówiłeś... Trzej przyjaciele dali sobie słowo honoru, iż nie tylko nawzajem będą się wspierali... ale pomagać mają dzieciom swoim wzajemnie...

Z tajemniczą miną szepnął pan Niwiński:

— Właśnie o tem w liście Młockiego.

— Zdaje mi się, że mogę domyślać się treści tego pisma.

Co mówiąc, Czerski zaczerwienił się, jak mały uczniak — poczem ciszej dodał z biciem serca: Słucham...

Pan Edward rozpoczął czytanie na nowo:

— „Daliśmy sobie“ — tak dalej — uważasz — pisze pan Apolinary — „swego czasu, słowo honoru, na wypadek śmierci któregoś z nas trzech, iż każdy zajmie się dziećmi przyjaciela, jakby swojemi?...

— Kochany pan dotrzymałeś łaskawie swego słowa — odezwał się pan Stanisław, podnosząc, wzrok, pełen niekłamanej wdzięczności na wąsatą twarz pana Edwarda — a ja tego mile doświadczyłem.

Obruszył się na to gospodarz poczciwy:

— Nie przerywaj tylko słuchaj listu. „Otóż kochany Edwardzie, tak Bóg dał, że po śmierci Kazia, tobie, jako już żonatemu

przypadło w udziale wychowanie jego jedynaka, gdy ja byłem jeszcze kawalerem. Źle się jednak wyrażam. Nie wnoś z tego, bym zamierzał porzucić kiedykolwiek swoje starokawalerstwo. Bardzo mi z niem dobrze jest i będzie do śmierci. Że zaś pracą sumienną uciułało się tymczasem mająteczek spory — więc kiedy starość nadchodzi — pora nim rozrządzić... Własnych dzieci nie mam. Twoim, drogi Edwardzie, grosza nie potrzeba, skoro obu córkom ładne dajesz wiana. Zostaje tedy jedyny syn Kazimierza, którego, jak się przekonałem, na porządnego chłopca wychowałeś, mój przyjacielu"...

— A skądże ten pan Młocki ma o mnie jakie wiadomości — zawołał Czerski ze zdziwieniem.

— Poczekaj, gorączko! — krzyknął rozweselony Niwiński i czytał dalej: „Wyczytałem właśnie w gazetach, które tu sobie zawsze trzymam z Warszawy, wiadomość o tym panu Stanisławie i o jego poważnym wynalazku nowej maszyny do latania. Na wypróbowanie tak świetnego pomysłu pewnie mu dużo pieniędzy potrzeba, których, jak wiem, biedny student politechniki nie posiada i na taki cel chyba nie zdobędzie łatwo u ludzi obcych, nie mając własnej rodziny bogatej. O tobie, Edwardzie, nie mówię, bo mając dzieci, nie możesz na to łożyć...

— Naturalnie, naturalnie — wtrącił Czerski, cały w słuch teraz zamieniony...

— »Ale ja postanowiłem« — czytał dalej pan Edward — »dotrzymać słowa honoru i sądzę, że to zresztą moim obowiązkiem, skoro ty go wychowałeś już tak pięknie...«

Młody człowiek przy tych słowach pochylił się szybko ku panu Niwińskiemu i pocałował go w ramię, ten zaś, machnąwszy tylko ręką, nie przerywał sobie w czytaniu listu:

— »Odłożyłem więc dla siebie tyle, ile potrzeba będzie do mej śmierci rodakom moim na obczyźnie, zwłaszcza chodzikom. A dla tego młodego Stanisława Czerskiego przeznaczyłem stopięćdziesiąt tysięcy w rublach...«

— Sto pięćdziesiąt sysięcy!? — wyrwało się z piersi zdumionego młodzieńca. — Ależ to dziesięciokrotnie przechodzi moje najśmielsze marzenia — myślał głośno Stanisław, gdy pan Niwiński kończył list czytać:

— »I taką to sumę wypłaci Tobie, Edwardzie Niwiński, bank w Warszawie, do którego przekaz załączam ci do listu. Zapewnij tylko tego Stasia, że to grosz uczciwie zapracowany, bez krzywdy ludzkiej... Niech mi przyśle swoją fotografję: do kogo z rodziców podobny, chcę wiedzieć. Zresztą może on mnie kiedy sam odwiedzi. Pół mojej willi mogę mu zawsze odstąpić. Cisza tu wielka do takiej pracy twórczej, jak dla niego. No szczęść mu Boże! A ciebie Edwardzie, ściskam po dawnemu, nóżki całując Pani i rączęta córuchnom... Twój wierny druh *Apolinary Młocki*«.

R. BIBLIOTHEC